

# Łowiecki mentor

Poniżej prezentujemy fragmenty rozdziału „Dziecięce lata” z części I pamiętników „Smolin” **Zygmunta Andruszewskiego jr.**, ostatniego przed wojną właściciela tytułowego majątku położonego na Kresach. Wnuk autora, a zarazem redaktor tomu Cezary Andruszewski postanowił zachować pisownię oryginalną. Zatem publikujemy tekst w niezmienionej formie – ortografia i interpunkcja nie zostały poprawione. *Red.*

Najoryginalniejszą postacią wśród służby dworskiej związanej bezpośrednio z domownikami, był niezaprzeczenie Dudek – tak nazywany przez wszystkich, choć miał na imię Iwan (Jan). (...)

Wiele miał lat – nikt nie wiedział. Pamiętamy go już szpakowatego, przygarbionego, niskiego wzrostu, o charakterystycznym kaczym chodzie, z ciężko związającymi ramionami, o spracowanych, żyłastych, zniekształconych (...) dłoniach, długich zmierzwionych (...) włosach, silnym szczecinowatym zaroście brody golonej od święta i gęstymi siwymi wąsami opadającymi na usta, które nieustannie meły w ciągu dnia „razgowory” – Dudka samego ze sobą lub z domownikami. Odziany latem w długą zgrzebną koszulę, wypuszczoną na szerokie hajdawery i przepasaną na biodrach rzemieniem z wiszącym u niego na karabińczyku nieodstępnym kozikiem, w dużym słomkowym kapeluszu (...) wykonanym własnoręcznie (...), bosi, królował w kurniku – drewnitni, gdzie miał swe „legowisko” – mieszkanie. Na szerokiej, pomarszczonej nad miarę twarzy (...) gościł zawsze uśmiech i błyszczały z pod nastroszonych brwi chytre niebieskie oczka, rzucające gromy, gdy był czymś podenerwowany. Zimą „nosił się” w chłopskim kozuchu, niezgorzej upstrzonym licznymi łatami, (...) wciskając na odstające uszy czarną czapę „z sztucznego baranka”, a na swe zniekształcone stopy ubierając słynne uhnowskie buty z cholewami – wymoszczone wiechciami słomy, w które wsuwał owinięte onucą nogi. Buty te, charakterystyczne tym, że każdy z nich „pasował” tak na prawą jak i na lewą nogę, były tak obszerne, że jak mawiał śp. Stryj Jan, gdy Dudek robił w nich w prawo lub lewo zwrot – „buty z uporem w miejscu stały”.

Przyszedł z Dziadkami z Radruża, gdzie w rodzinnej zagrodzie miał dożwocie, które wołał zamienić na służ-

bę „przy dworze”. Na starość wrócił na ojcowiznę i tam dokonał (ponoś otruty przez rodzinę) żywota. Do Jego służbowych funkcji należało: Wiosną, latem aż do zbiorów płodów z pola – chronić je przed szkodami dzierzymi, jako że zwierzyzna ta wychodząc z lasów otaczających łąny smolińskie, dewastowała nocami zboża i okopowe, powodując tym samym ogromne w nich straty. Z nastaniem chłódów obejmował ster nad dworskim opałem (...). „Honorową” jego funkcją było w okresie rójki pszczoł z ponad stupniowej pasieki w sadzie – sygnalizowanie rojów, które z niej wychodziły. W tym celu miał piękną myśliwską trąbkę, której sygnałem zwoływał „odsiecz” pasieczniczą do chwytania roju. Swą funkcję strażnika polowego dzierzzych szkód spełniał ze specjalnym zamiłowaniem – będąc zagorzałym... kłusownikiem i niezastąpionym „krajowym tropicielem” zwierzyzny – której życie i obyczaje znał na wylot.

On – Dudek – był moim mistrzem i wychowawcą łowieckim, a dla starszej generacji smolińskich myśliwych nieodłącznym towarzyszem łowów, na które był zabierany zawsze i wszędzie. Jego łowieckie zamiłowanie, a raczej pasja były znane dookoła i był wprost wyrocznią myśliwską – którą radzili się wszyscy czeladnicy i mistrzowie św. Huberta! Na polach smolińskich miał w rozmaitych miejscach porozrzucone budy ze słomy „okołotowej” (prostej słomy młoczonej cepami), obficie w środku wymoszczone słomianą mierzwą, w których w chłodne noce chronił się, jak też i przed niepogodą, dzwoniąc, hałasując i pokrzykując na zmiany na wszelkiego rodzaju blachach, starych lemieszach, łuskach z pocisków armatnich, kołatkach, których cały zestaw miał pozawieszany na stelażu u wejścia do budy, w zasięgu rąk. Jego nocne „pienia”: – „Dyka! Dyka! Czornaja,

welyka! Szarmoje, pantuje taj hołostuje!” [Nawet wytrawni tłumacze języka ruskiego (ukraińskiego) nie potrafili odpowiedzieć, co oznaczają Dudkowe nocne zawołania. Wyjaśnienie może być jedno: słowa te to mieszanka polskiego oraz ruskiego i w przybliżeniu oznaczają: „Dziki, dziki, czarna wełna (lub szczecina), hałasują, rozrabiają” – przyp. C.A.] – rozbrzmiewające echem wieczorami nocą i o świcie łączyły się z chórem nocnych nawoływań straży pól chłopskich, które też ogniskami i hałasem odstraszały dziki od swych płonów. W ciągu nocy pilnował rozniecane przez siebie w różnych miejscach ogniska, podsycając je chrustem, który za dnia gromadził z przyległych lasów.

Był poza tem człowiekiem o złoty rękach! Nie było rzeczy i pracy, na której by się nie znał. Prał, maglował i naprawiał sam swą odzież. Sam łątał i naprawiał swe obuwie i kozuch. Sam jak wspomniałem wyplatał ze słomy swe letnie kapelusze. Naprawiał wszelki sprzęt gospodarstwa domowego (...). Jednym słowem był chodzącym „uniwersum” – nie odmawiającym nigdy i nikomu z domowych swej pomocy i zdolności. Te ostatnie przelewał na mnie, nie szcędząc mi nauki w posługiwaniu się (...) wszelkim sprzętem do obróbki drzewa, w której był niedoścignionym mistrzem. Jego „pistolety”, które mi jako dziecku „fabrykował” z łuski karabinowej i wygiętego kawałka gałęzi – były memi najulubieńszymi zabawkami, za które nie szcędziłem Mu najlepszych tytoni Ojca, które suszył, rozcierał kamieniem na tabakę, jaką z swej tabakierki z kory brzożowej z pasją i donośnym kichaniem zażywał z specyficznym Mu gestem i lubością.

Jak już powyżej wspomniałem, „mieszkał” w drewnitni, z której nie sposób było go wykurzyć i zmusić do

rozlokowania się w jakichś graniczących z kulturą warunkach pomieszczeniowych. (...) Ta drewnitnia była Jego „chambre de réception” [fr. pokój przyjęć – przyp. C.A.] – gdzie przyjmował z niebywałą gościnnością, radośnie nasze dziecięce, a później młodzieńcze wizyty. (...) Spędzaliśmy u Niego długie godziny na rozmowach, prowokując Go nieraz do opowieści z Jego myśliwskich przeżyć (...).

Nas dzieci i młodzież traktował z jakąś specjalną kłiwością i gotowością spełnienia nam wszelkich usług, na jakie Go było stać. Zdradzał nam najgrzybniejsze miejsca w lesie, który znał jak swoje pięć palców. Relacjonował gdzie już dojrzały maliny, ożyny [reg. jeżyny – przyp. red.] czy borówki, gdzie można zobaczyć sarniątko, czy małe zajaczki, gdzie są jamy lisie, borsucze, gdzie na którym drzewie ma swe gniazdo wiewiórka, dzikie gołębie i gdzie zasiąść na rogacza czy też dobrego odyńca. Uczył jak robi się pułapki (spadnice) na kuny czy tchórze, które łowił i sprzedawał wędrującemu handlarzowi, lub w sąsiednich karczmach na wódeczkę i tabakę – które obie chętnie używał.

Kilka razy w roku wybierał się na „zakupy” do Niemirowa. Wracał z nich pijaniusienki jak bela i nie daj Boże, by ktoś Mu w tym momencie wlaź w drogę! Znając Jego niepoczytalność w pijanym stanie, wszyscy Go omijali, a On z kolei zamykał się w swojej drewnitni, z której dochodził na zewnątrz jego pijany bełkot (...). Na drugi dzień, gdy już trzeźwemu wypominali domownicy Jego wczorajszy stan, (...) odpowiadał jednym słowem: – „At!” – wymownie machając przytem obu rękami! (...)

Jego do pewnego stopnia śmieszna postać i niezaprzeczone ubóstwo nie postawiły na Jego drodze kobiet, z którymiby czuł się związany. Jednej tylko i to mężatce, która szyła Mu jego skromny przyodziewek, wywdzięczał się owocami swego kłusownictwa. (...)

Jego pasja myśliwska, którą mnie jeszcze jako dziecku zaszczepił opowiadaniem swych niesamowitych przygód, przejawiała się w umiłowaniu do broni, którą przez szereg lat udostępniano mu w celu odstraszenia dzików. Pamiętam jego jednorurkę, kapiszonówkę, nabijaną z góry lufy (siedzi z nią na fotografii) stemplem, zardzewiałą, o łożysku i kolbie poskuwanych na skutek uszkodzeń – blachą, którą przy strzeleniu posługi-



Iwan „Dudek”  
w Smolinie, 1916 r.

Arch. Fundacji Smolin Andruszewski (2)

wał się z mistrzostwem celności, której zawsze Mu zazdrościłem.

Pierwszą moją łowiecką zdobyczą był zajaczek, którego mrugając wskazał mi leżącego w kopni pod jałowcem, szeptem nakazując: – „Strilaj bo wtknie!” [rus. Strzelaj, bo ucieknie! – przyp. C.A.]. Efektem było dosłowne rozniesienie zajaczka bliskim strzałem, po którym zostały tylko resztki biednej ofiary mych pierwszych myśliwskich kroków. – „Oj! Ta treba jeho buło tyłki w hołowu! A ne tak w seredynu – szcjob rozletył sia!” [rus. Oj! Trzeba było tylko w głowę! A nie tak w środek – żeby się rozleciał! – przyp. C.A.] – utyskiwał nad zmarnowanym trofeum.

Pozbawiony u schyłku pierwszej wojny światowej broni, którą zabrali Mu (tak jak cały dworski „arsenał”) Moskale – posługiwał się wszelkiego rodzaju żelazami, pułapkami, spadnicami itp. w chwytaniu zwierzyny. A było

tego sprzętu „łowieckiego” z czasów, gdy jego używanie było dopuszczalne – dość sporo. Olbrzymie żelaza na wilki i niedźwiedzie – ważące kilkanaście kilogramów jedno, z łańcuchami i kotwicami, mniejsze żelazka na lisy, borsuki i wydry, jeszcze mniejsze na kuny, tchórze i łasice – też zaopatrzone w małe kotwiczki na łańcuszkach, pułapki na szczury, spadnice wszelkiego rodzaju, których nie brakowało na dworskim strychu – miał pod swym berłem, korzystając z nich od czasu do czasu – niestety bez żadnej kontroli.

Nie zapomnę nigdy jak pewnego wakacyjnego, wczesnego ranka wywłókł mnie prawie o świcie: – „Bery strilbu! W lisku je sernink!” [Bierz strzelbę! W lasku jest kozioł (sarniak)! – przyp. C.A.]. Na wpół zaspany ze strzelbą na ramieniu maszerowałem w porannej mgłę za nim, pchającym przed sobą lekkie taczki... Przez chłopcą główkę przebiegała ▶



mi z uporem myśl, skąd On taki pewny, że ja tego kozła upoluję – pchając przed sobą taczki do przewiezienia trofeum myśliwskiego! Odpowiedź na nurtujące mnie wątpliwości przyszła niedługo – gdy mijając las (lisok), zobaczyłem kozła (...) biegającego w ciasnym kręgu żelaza, w którym tkwiła jedna przednia noga. Dobiłem oczywiście nieszczęsne zwierzę i po powrocie do domu opowiedziawszy o całym zajściu Ojcu, Dudkowi odebrano prawo zastawiania pułapek na zwierzynę, czego do końca życia nie mógł mi darować.

Na efekt pozbawienia go broni palnej i dostępu do żelaz i pułapek, niedługo trzeba było czekać. W pewne lipcowe, skwarne południe 1916 roku, siedząc domową gromadką na ganku dworu smolińskiego, usłyszeliśmy na polu w kierunku zachodnim silną detonację... Zaintrygowany nią (...) „duchem” pobiegłem (...) do (...) budy Dudka. Z jej głębi doszły mię stękania i sapania, a na moje zapytanie: – „Dudku czy słyszałeś ten strzał?” [rus. Dudku, czy słyszałeś ten strzał? – przyp. C.A.] – wysunęła się rozczochrana głowa Dudka z bladą, wykrzywioną bolesnym grymasem twarzą, a z kolei jego zgarbiony korpus – z jedną ręką „za pazuchą” – zchlastaną krwią... – „Oj panyczu! Lufu me ze wsim pirwało! Nu i hodi ji teper znajty!” [rus. Oj, paniczu! Lufę mi całkiem rozerwało! Nie mogę jej teraz znaleźć! – przyp. C.A.] Koszuła i spodnie zbroczone krwią lewej ręki, z której wybuch broni urwał trzy środkowe palce... Rozerwana dłoń zawinięta w gazety (!) i jakieś brudne szmaty – tworzyła krwawą bryłę (...). Z miejsca doprowadziłem go pomimo jego oporu do domu, gdzie mu Stryj Jan wyczyścił, wydezynfekował i zaopatrzył potworną ranę, a dworska furmanka odwiozła Dudka do szpitala w Żółtkwi (...).

Nie minęło kilka dni jak wracając o świcie do domu, zobaczyłem Dudka siedzącego przy folwarcznej studni (...) zażywającego potężny „niuch” tabaki...

– „Co wy tu Dudku robicie?” – spytałem.

– „Oj! Panyczu – hodi buło w tym szpitalu wytrzymały! – Ta – taja sestra, jak meni przyłożyła jakoś masty – to i czort by horiaczym żelizom tak ne dopik!! Ja sobi i bez ich pomocy – dadu z tej ruko sam rady!” [rus. Oj! Paniczu, nie mogłem w tym szpitalu wytrzymać. Ta siostra, jak mi nałożyła jakąś maść, to i diabeł by gorącym żelazem bardziej nie przypiekl. Ja sobie i bez ich pomocy



**Zygmunt Andrusewicz jr z ustrzelonym dzikiem przed gankiem smolińskiego dworku, ok. 1930 r.**

– sam dam radę z tą ręką – przyp. C.A.] – odpalił Dudek, setnie kichnąwszy i soczyście splunąwszy „na pohybel” szpitalnym gnębicielom. I rzeczywiście, (...) przy zastosowaniu własnej terapii (...) potworne okaleczenie zagoiło tak dalece, że dwoma ocalałymi palcami (...) i pozrastaną dłonią posługiwał się tak samo jak przed wypadkiem, żartując że teraz nawet, jakby mu broń rozsadziło – to już nie ma palców do stracenia!

Około 1920 roku, Dudek zatęsknił do swej rodzinnej sadyby i (...) powrócił na swą ojcowiznę w jednym z przysiółków radurskich – na dożywocie... Wiosną 1921 roku dotarła do nas wieść o Jego śmierci... (...) Został jednak na zawsze w naszej pamięci jako niespotykanej dziś wierności i zacności sługa, a niedościgniony znawca przyrody i jej życia, w które brutalnie wtargnął człowiek z całym złem towarzyszącym mu!

Wielekroć (...) wspomnę sobie Dudka, mego serdecznego łowieckiego mentora i towarzysza, z którym niejedną chłodną nockę przespałem na barłogu w Jego budach strażniczych, widzę go jak wygramoliwszy się o wczesnym świtanie z legowiska, (...) zwrócony w kierunku

różnowiejącego się nad dalekim horyzontem wschodu słońca (...) żegna się po trzykroć znakiem krzyża i rozpoczyna swe codzienne modły (...) półgłosem z powagą i dostojeństwem charakteryzującym Jego głęboką wiarę w moc Stwórcy otaczającej go Przyrody. Wracaliśmy międzami – do domu. On gałązką (...) strącał krople obfitej porannej rosy, która ziębiła Jego bose stopy, ja z tyłu (...) – nie przerywającym ani na chwilę słów modlitwy, przeplatanej głosami budzącego się ptactwa, wśród którego prym wiodły podniebne trele skowronków, donośne pitpilikanie przepiórek i przygłuszający wszystko ostry terkot rozlicznych derkaczy, przebijający się przez mgły nad łąkami z jęklivymi poświstami czajek, ustępujących wysoko w błękitie uporczywemu dyszkantowi bekasów... (...) ●

*Książka „Smolin”  
do kupienia w Klubie  
Sprzedaży Wysyłkowej  
(s. 62 oraz na  
[www.sklep-oikos.net.pl](http://www.sklep-oikos.net.pl))  
w cenie 49,90 zł.*

